

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓZANIEC

3

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

— Czy możliwe jest, aby człowiek mógł się znajdować jednocześnie w dwóch miejscach?

— Wątpię; muszę jednak przyznać, że żywoty świętych obfite są w historie dwoistości. Pisarze mistyczni nazywają to darem wszechobecności. Przykłady tego może pan znaleźć w życiorysie świętego Alfonsa Ligoriego i świętego Franciszka Ksawerego. Mogą to jednak być tylko legendy.

— Czy dowody tego znajdują się tylko w życiorysach świętych?

— Są i inne podobne wypadki; lecz nie chcę informować pana o specjalnej literaturze tego przedmiotu; boję się wpłynąć mimowoli na odruchowy rozwój pańskich przemyśleń. Gdy one się skończą, powiem panu o tem to, co sam wiem. Radę zaś mogę dać tylko jedną: nie pomagać wypadkom. Objawy będą miały tem większe znaczenie, o ile pańska wyobraźnia nie będzie podlegała postronnym pobudkom.

— Rozumiem zupełnie pańską myśl, lecz jestem bardzo zaintrygowany tem, co mi się zdarzyło. W ostatni czwartek położyłem się spać dość wcześnie. Poprzedniej nocy długo czuwałem, to też teraz sen mnie zmorzył przy obiedzie. Śniło mi się, że jestem znowu w pokoju młodej panny. Pominę wszystkie szczegóły już znane, wspomnę tylko, iż ta postać przy mnie zjawiała się szybko. Gdy ją ujrzałem wyraźnie, powstałem i siadłem w drugim końcu pokoju. Postać ta otworzyła oczy i spostrzegła mnie; zauważyłem, że się już tak nie lęka; rzekłem zaraz do niej: „Proszę bardzo, niech pani się nie obawia, gdyż ja nie chcę uczynić jej nic złego”. Odpowiedziała mi wtedy.

— Co panu rzekła? — zapytałem pobudzony ciekawością.

— Powiedziała mi głosem wyraźnym i żywym: „Co pan tu robi?” Była trochę przestraszona i miała minę, jak prawdziwa panna, gdy ujrzy w swym pokoju niespodziewanie obcego mężczyznę. Pośpieszyłem ją uspokoić, a przytem chciałem wzbudzić w niej zainteresowanie. Słyszałem, że to najlepszy środek, by kobieta coś wysłuchała. Pozostawałem na swem krześle i odezwałem się do tej postaci: „Mam pani opowiedzieć niezwykłą historię, jakiej pani jeszcze nigdy nie słyszała. W chwili obecnej śpię u siebie w Bordeaux, przy bulwarze Caudeuran, pod numerem 532, jednocześnie jednak jestem i tutaj. Nic z tego nie rozumiem”. By mógł doktor zdać sobie sprawę z mego stanu umysłu, muszę przypomnieć to, co już mówiłem o uczuciu przyjaźni, miłości duchowej, jaką odczuwałem dla tej postaci. Pragnąłem bardzo być razem z nią i dlatego wzbudzałem w sobie chęć nie przestraszenia jej, lecz podobania się. Słowa moje nie wzruszyły jej, stała bowiem nieruchomo, milcząc, z miną zaniepokojoną; nagle zjawiała się we mnie nowa myśl.

— Pani jest zresztą — rzekłem do tej postaci — w stanie takim samym, jak i mój; niech pani się nie obawia; czy pani słyszy mnie? Proszę się nie lękać. Jesteśmy popychani ku sobie w śnie, a raczej pani dusza pociąga moją, podczas gdy ciało moje opuszczone przez nią spoczywa tam jak trup. Już od dość dawna przychodzę prawie co noc do tego pokoju. Pani mnie spostrzegła dopiero w czasie mych ostatnich czterech wizyt, gdyż dopiero wtedy zdołała pani poddać się stanowi, w jakim ja jestem. Jest to rzecz niezwykła i nie każdy może się na nią zdobyć; niech pani podziękuje Bogu, że dał pani tę możność. Proszę sprawdzić to, co mówię; na łóżku leży uśpione pani ciało; jest ono blade i ma trupi wygląd, ale tylko dlatego, iż dusza pani opuściła je.

Postać ta zwróciła się do łóżka i krzyknęła.

— Chcę pani dowieść teraz — dodałem — że jesteśmy oboje, jak dusze, otoczone powłoką niematerialną. Pozwoli pani podejść do siebie? Czy mogę wziąć panią za rękę?

Postać podniosła się i dała znak zgody. Zbliżyłem się i wziąłem ją za rękę. Doznałem zaraz wrażenia, jakby prądu elektrycznego, o którym już wspominałem. Postać odczuła to samo, gdyż natychmiast puściła moją rękę i w tej chwili schwyciła ją znowu.

— Możemy mijać swobodnie wszystkie rzeczy materialne. Czy chce pani iść ze mną do drugiego pokoju? Naprzykład do pokoju pani matki?

— Dobrze, chcę.

— Proszę więc iść za mną, pamiętając, iż wszystko traci dla nas swą materialność. Każdy przed-

miot ma tylko tę własność, jaką pani imaginacja mu pozostawi. Możemy nie dotykać się ziemi.

Niezwłocznie cienie nasze poruszyły się i przeniknęły przez ścianę; znaleźliśmy się w sąsiednim pokoju; dama, którą już widziałem, spała w jednym łóżku; na drugim leżał mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni i mimo spóźnionej pory czytał jakieś pismo; było to *Figaro*. Spojrzałem na tego mężczyznę; wyglądał na dawnego urzędnika; wąsy i broda zgolone, długie faworyty, mina surowa. Musiał to być człowiek uparty i silnej woli; zdradzały to zaciśnięte wargi, zmarszczki na czole, szerokość podbródka.

— Mój ojciec i moja matka! — rzekła postać.

— Nie mogą ani pani słyszeć, ani widzieć. Niech pani spróbuje obudzić matkę, lub zwrócić na siebie uwagę ojca!

Postać podeszła do ojca i pochylając się nad nim, pocałowała go w czoło; mężczyzna nie zauważył tego.

— Tatku! Tatku! Czy nie widzisz mnie? Nie słyszysz? — wołała moja towarzysząca. Starą się poruszyć jego rękę, lecz przenikała przez ciało i nie mogła nic uchwycić.

— To nie do uwierzenia! — rzekła, powracając do mnie. — Czy może mi pan to wytłumaczyć?

— Nie więcej wiem od pani — odpowiedziałem.

— Przejęta jestem tem; nie mogę pozostawać tutaj niewiloczna dla swych rodziców. Boję się. Wróćmy do mego pokoju.

Wzięła mnie bezwiednie za rękę i przeszliśmy poprzez ścianę i kominiek, stojący przy niej; nie uczuła gorąca ognia. W pokoju młodej panny usiedliśmy naprzeciw siebie.

— Co za niezwykła historia! — zawołała postać, spoglądając na siebie, a potem na śpiącą w łóżku. — To bez wątpienia śni mi się tylko.

Przy słowach tych doznałem jakby omdlenia; coś mnie unosiło z pokoju. Zaledwie zdążyłem powiedzieć postaci:

— Muszę już odejść. Przybędę jutro. Nie lęka się pani?

— Nie. Proszę przyjść.

— Do widzenia.

— Do jutra.

I obudziłem się u siebie. Skutek tych snów jest taki, że nocne moje stały mi się daleko przyjemniejsze od dni. Spieszę się teraz zawsze do łóżka i kładę się o śmiesznie wczesnej porze. Następnej nocy znalazłem się także koło uśpionej panny, postać ta była już prawie zupełna, sformowana i po kilku minutach otworzyła oczy i przemówiła:

— A pan już jest?

— Przybyłem. Pani dopiero formowała się.

— Pan to widział?

— Tak!

— Jakto się stało?

Musiałem opowiedzieć jej szczegółowo, jak postać jej formuje się z mglistego oparu. Słuchała mnie uważnie, przerywając często wykrzyknikami. Gdy skończyłem, odezwała się:

— Chciałabym widzieć to!

— Może pani mogłaby mnie zobaczyć, jeżeli ja się formuję również w ten sposób.

— Jak to musi być ciekawe!

— Jest to nadzwyczaj ciekawe, lecz ponieważ nie jeszcze nie wiem o tym niezwykłym świecie, w którym żyjemy, może lepiej poczekać, aż się z nim bliżej poznamy, zanim spróbujemy doświadczenia.

— Czy tak pan sądzi?

— Tak.

Przez kilka chwil zachowaliśmy milczenie. Postać ta była najdokładnijszym odbiciem młodej panny, była tylko cokolwiek wyższa. Opisałem już doktorowi swą nieznaną, wspomnę jeszcze tylko, iż ma oczy ciemne, isniące, głębokie o jasnym spojrzeniu; wyraz jej jest zwykle spokojny i poważny; wydaje się inteligentną i dobrą; im częściej ją widuję, tem bardziej przywiązuję się do niej. Wszystkie zalety, jakie chciałbym widzieć w ukochanej kobiecie, znajduję w niej. Jestem w niej bardzo zakochany; lecz miłość moja jest niedorzeczna, ponieważ zwrócona jest tylko do złudzenia.

Milczenie przerwała ona.

— Skąd panu przyszło na myśl zjawić się u mnie?

— Sam tego nie wiem.

— Kiedy pan przyszedł po raz pierwszy?

— 28 listopada zacząłem zbliżać się do pani. Doszedłem do ogrodzenia, które dopiero po kilku dniach oczekiwania mogłem minąć. Potem zdołałem dojść do domu i wreszcie do pani pokoju. Przez kilka dni patrzyłem, jak pani śpi.

Opowiedziałem postaci dokładnie, w jakich oko-

licznościach ujrzałem ją po raz pierwszy, jak się lękała mnie i z wolna przyzwyczaiła się do mnie.

— Już teraz nie obawia się mnie pani? — rzekłem z uśmiechem.

— Nie! — odpowiedziała, śmiejąc się także. — Jakaż dziwna pańska historia!

— Raczej nasza!

— Tak, nasza. Jedna tylko rzecz pozostaje dla mnie niezrozumiała: dlaczego pan został pociągnięty właśnie do mego pokoju i do mojej osoby?

Domyśliłem się odrazu, że koralowy różaniec nie jest tutaj bez znaczenia. Pańskie naleganie, doktorze, bym go zawiesił na piersi podczas snu i podobieństwo uczucia, jakie on mi sprawia, do uczucia wywoływanego przez mą nieznaną, wszystko mi wyjaśniły.

— Czy nie zgubiła pani przypadkiem różańca koralowego? — zapytałem.

— Tak.

— Kiedy?

— Dwudziestego siódmego listopada w Arcachon na przylądku Ferret lub na plaży.

— Byłem tego pewny! znalazłem go dwudziestego ósmego listopada na plaży tamtejszej. Tegoż wieczoru zaczęły się me sny...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To tylko, iż dwudziestego ósmego zaczął się mój sen, który powtarza się prawie co noc, a we śnie przybywam do pani.

— We śnie? W takim razie z panem dzieje się to samo co i ze mną! To wszystko bardzo niezwykłe!

Opowiedziałem jej różne szczegóły o swych snach, które pan już zna; bardzo się tem zainteresowała i zadawała mi ciągle pytania o park, o drogę, o chatkę w lesie.

— Właśnie w tej chatce odmawiam często różaniec. Jak jednak wytłumaczyć, że znaleziony różaniec przyprowadził pana tutaj?

— Sądzę, iż istnieje między tym przedmiotem, który pani długo nosiła a panią samą jakaś tajemnicza łączność. Czy odczuwa pani co, gdy mnie bierze za rękę?

Wyciągnąłem rękę do postaci, która mi podała swoją.

— Czy doznaje pani jakiego wrażenia?

— Tak — odpowiedziała. — Zdaje mi się, że jakieś ciepło przenika do mej ręki i rozlewa się po całym ciele. Można by powiedzieć, że dostaje się ono przez małe dziurki, jakby od ukłucia szpilką.

— A nie więcej?

Cofnęła swoją rękę cokolwiek zmieszana.

— Tak, jest jeszcze coś — rzekła.

— Co takiego?

— Nie potrafię określić tego jasno — odpowiedziała z pewnem wahaniem. Niech mi pan powie naprzód, o czem pan myśli?

— Dobrze! Gdy podaję pani rękę, doznaję również wrażenia ciepła, lecz oprócz tego budzi się jeszcze we mnie uczucie bardzo miłe, jakiejś błogości razem z... jakby to powiedzieć?... z tklivością. Tego samego doświadczam i przy dotykaniu się różańca koralowego. Zdaje mi się, iż jest on przeniknięty tą samą subtelną materią. Dlatego w myślach mych postać pani kojarzy się z tym różańcem.

Zamyśliła się na chwilę.

— Więc my śnimy oboje?

— Bez wątpienia.

— I mamy ten sam sen?

— Nie wiem. Możliwe jest, że ja tylko śnię, a postać pani, głos, wszystkie te niezwykle okoliczności są tylko owocem mej wyobraźni.

Postać ta zaczęła się śmiać.

— Uważa więc mnie pan tylko za złudzenie?

— Dlaczego chce pani być czemś innem? Położyłem się teraz wieczorem. Zasnąłem jak zwykle i mam tylko dziwny sen, oto i wszystko.

— A ja? Zapewniam pana, że jestem żywa i naprawdę istnieję. Pan mnie bawi bardzo, uważając za złudzenie, za iluzję!...

Podniosła się, podeszła do mnie i oparła tak silnie swą rękę na mem ramieniu, że aż się zgąłem.

— Czy sądzi pan, że złudzenie może mieć taką siłę?

— Nie, o ile tylko moje wrażenie i mój ruch nie są skutkami snu.

Upór mój zniecierpliwiał ją, uszczypnęła mnie w ramię, ja zaś obudziłem się z biciem serca i pewnem przynębieniem, o jakim już doktorowi mówiłem. Było kwadrans na czwartą. Zasnąłem znowu, lecz już nic nie śniłem. Widzi doktor teraz, jak moje sny są ciekawe, zwłaszcza, iż wydają mi się rzeczywistością. Myślę, czy dom ten i młoda panna nie istnieją przypadkiem w rzeczywistości.